

Złoteżnic'wa...

„Pochmurno

i mglisto”

Psia pogoda. Komunikat meteorologiczny głosi: „Dziś pochmurno i mglisto”. Słychać szemrzącą w rynnach wodę, okna zasnuwają parą wodną. Naprawdę „pochmurno i mglisto”.

O czym w taką ohydą pogodę pisać w „Złoteżnic'wach”?

Czy o sprawach toczących się w sądzie?

„Pochmurno i mglisto”.

Czy też może wybrać sobie za temat powstający klub Ozonu, przepraszam, „koło parlamentarne”.

Och, jak „pochmurno i mglisto”.

A może zaczepić temat z ul. Wierzbowej, napisać coś o naszej polii yce zagranicznej? Na pisatym. Cóż, kiedy wszędzie dziś „pochmurno i mglisto”.

A nasze życie społeczne i polityczne? Coraz to powstają nowe wi wodzowie, rejestrują się jak grzyby po deszczu nowe partie, głoszone są nowe programy.

„Pochmurno i mglisto”.

A Rada Adwokacka? Nowy dziekan Urbanowicz i dobra towarzystwo przy nim. Jak to wszystko się przedstawia?

Bardzo „pochmurno i mglisto”.

Maże napisać coś o przemysle i handlu?

Doprawdy, aż nie chce się. „Pochmurno i mglisto”, a nawet bardzo blisko.

Nie warto także ruszać życia kulturalnego PAL-u i jego warzywnów. Przecież tak „pochmurno i mglisto”.

Jesień jest straszliwą porą roku. Nic się w taki szarawy dzień nie chce robić. Człowiek przesiedziały najchętniej cały dzień przy ciepłym piecu, przy czarnej kawie i koniaku i nie nie pisać.

Bo o czym tu pisać, kiedy tak wszędzie...

„Pochmurno i mglisto”.

B. REZA

MIŁOŚĆ



— Moja córka uwielbia Beethovena ponad wszystko!
— Co pani powie? A ja sądzę, że pana Gucia..

„Prawo rządzi królami”

Historyczny wiatrak w Potsdamie

Zwiedzający rezydencję Honen zollernów w Potsdamie stają zdumieni przed niezwykłym w tej wytwornej dworskiej atmosferze zjawiskiem. Oto na wzgórzu tuż za wspaniałymi apartamentami zamku Sans - Souci wznosi się stary wiatrak w stylu holenderskim.

Szeroko rozpostarte, nieruchome jego skrzydła zdają się bronić zamku, stanowiąc równocześnie dla niego niezerwane tło. Wygląda on tak godnie i niewinnie, że wprost trudno się domyśleć, iż był niegdyś powodem zacie-

go sporu i długo i wytrwale stawiał opór władzy monarchii.

Przed paru wiekami, jak głosi legenda, przywedrował do Potsdamu holenderski młynarz i zbudował na wzgórzu wiatrak. Z początku sąsiedzi odnosili się niechętnie do przybysza, wkrótce jednak zapomnieli o jego pochodzeniu, a on również przywykł do nowej ojczyzny. Po nim odziedziczył wiatrak syn, a następnie wnuk, Hans.

Z całej okolicy zjeżdżali się wozy ze zbożem, szumiały skrzydła wiatraka, syłała się biała m-

ka, rósł dostatek młynarza, gdy nagle uderzył grom: Fryderyk Wielki, rozszerzając swe domeny, zakupił sąsiadujące z młynem grunta, zaczął bundować na nich zamek i zażądał, by młynarz unieruchomił wiatrak. Hans odmówił. Wówczas król wysłał wojsko, aby przemocą skłonić do posłuszeństwa upartego młynarza, lecz ten nie ułakł się i wystąpił do sądu ze skargą przeciwko królowi.

Jego Królewska Mość jest właścicielem prywatnym Sans - Souci, — dowodził młynarz — obowiązuję go więc prawo sąsiedzkie, które zabrania przeszkadzać sąsiadowi w wykonywaniu swego zawodu.

Istotnie domeny Sans - Souci były nabyte za prywatne fundusze króla, wobec czego sąd przyznał rację młynarzowi.

Od tego czasu rzekomo datuje się aforyzm: „prawo rządzi królami”.

Znowu zwycięsko walczyły skrzydła wiatraka, aż wreszcie król, nie mogąc w inny sposób pozbyć się hałasu nabył za wygórowaną cenę posiadłość upartego młynarza.

Hon.

4 lata więzienia

za czytanie Pisma św.

Z Saratowa donoszą, że pewien sędziwy chłop w wieku 70 lat został aresztowany przez miejscowe władze bolszewickie ponieważ w chacie jego gromadziło się parę razy w tygodniu kilku młodych chłopów dla wspólnego czytania Pisma św. Starzec został zadenuncjowany przez członków Komсомола. Po przesiedzeniu 4 mie-

sięcy w areszcie przewidywano staruszek został skazany na 4 lata więzienia. Pismo święte, które od r. 1801 należało do członków jego rodziny, zostało skonfiskowane i ofiarowane bezbożniczemu muzeum w Saratowie, jako „dokument z dawnej epoki kapitalistycznej”.

Szkielet z kości słoniowej

Przyczyna rewolucji w Trawankor

W Triwandumie, stolicy hinduskiego państwa Trawankor, świętowano niedawno 100-lecie „świętego szkieletu z kości słoniowej”.

Pochodzenie tego szkieletu jest bardzo dziwne. Maharadża Martanda Herma, który należał do kasty Braminów, ogromnie interesował się anatomią i chciał jak najdokładniej zgłębić tę naukę.

REWOLUCJA Z POWODU SZKIELETU

Było to przed 100 laty. Przyboczny lekarz maharadży doktor Brown, który wykładał swemu pacjentowi anatomię, dostarczył mu ludzki szkielet. Omal nie stało się to powodem buntu. Wśród ludu zaczęły krążyć niepokojące pogłoski, że maharadża związał się z siłą nieczystą i w tym celu kazał sobie sprowadzić kościotrup.

Poruszenie zaczęło się wśród braminów, a następnie objęło inne kasty. Agitatorzy domagali się aby maharadża porzucił anatomię i przestał wreszcie gniewać bogów. Nad krajem zawisła groza

rewolucji. Ale maharadża był człowiekiem upartym i oświadczył, że raczej się rzeknie panowania, aniżeli porzuci studia nad anatomią.

SZKIELET Z KOŚCI SŁONIEWEJ

Najlepsze wyjście z niełatwej sytuacji znalazł jeden z tamtejszych rzeźbiarzy. Zrobił on z kości słoniowej dokładną kopię szkieletu, a ponieważ wyrobami z kości słoniowej mógł się zajmować nawet bramin, więc dalsze studia maharadży na tym sztucznym szkielecie nie wywołały już protestów. W państwie nastąpił spokój. Po śmierci maharadży szkielet z kości słoniowej został pochowany obok niego w szklanej trumnie.

Dziś szkielet z kości słoniowej jako jedyne w swoim rodzaju arcydzieło rzeźbiarskie, posiada dużą wartość i muzeum brytyjskie ofiarowało za niego 15 tys. funtów sterlingów.

Ale w ciągu 100 lat szkielet został uznany za bóstwo, odbywają się przed nim nabożeństwa i kapłani ozdabiają szklaną trumnę świeżymi kwiatami.

Od czasu do czasu wieko trumny jest podnoszone, szkielet czyści się i myje. Z okazji 100-lecia szkielet obecnie przeniesiono do

świątyni, gdzie zgromadziły się tysiące pątników. „Święty szkielet z kości słoniowej” będzie znowu wystawiony dopiero za 100 lat.

Niepotrzebna impreza
Na marginesie Salonu Malarskiego I.P.S.

Zyjemy w takich warunkach, kiedy jedyny kontakt artysty z publicznością odbywa się za pośrednictwem oficjalnych instytucji wystawowych, lub szeregu wystaw organizowanych doraźnie, często w lokalach najmniej do tego celu nadających się.

Dobrze jest jeszcze, jeżeli instytucja wystawowa potrafi zdobyć się na jakąś organizację środowiska artystycznego z jasno określonym programem na przyszłość. Ale praktycznie wszystko kończy się na tym, że kontakt malarzy, czy rzeźbiarzy z instytucją polega tylko na ubieganiu się o salę, lub zapomogę.

W Warszawie mieliśmy, na szeroką skalę zakrojony przykład chęci stworzenia jakiegoś życia wewnętrznego wśród artystów. Bo obok istniejącej już od lat kilkadziesiąt Zachęty, powstał Instytut Propagandy Sztuki, który miał dać coś zupełnie odrębnego, co byłoby rzeczywistym odzwierciedleniem prądów dzisiaj nas wszystkich nurtujących.

Wiemy, jak się to zakończyło: Instytut Propagandy Sztuki urządził tak, jak i Zachęta, doroczne Salony Malarskie. Na Salonach IPS-u widzimy cały szereg nazwisk, które jednocześnie spotykamy i w Zachęcie, że wymienię tylko Władysława Hoffmana, Apoliniusza Kędzińskiego i Frydrysiaka.

Przy każdej corocznej rekapitulacji wyników sezonu artystycznego mamy wrażenie, że stworzono tylko drugą i to pomimo wszystko przewidywaną, Zachętę.

Trudno jest nie podkreślić kilku bardzo słusznych punktów zeszłorocznego programu Instytutu Propagandy Sztuki, chodzi mi przede wszystkim o „Wystawę Sztuki Ludowej”, „Wystawę Sztuki Gotyckiej w Polsce”, czy „Wystawę Wnętrza Mieszkalnego”.

Ale poza tym IPS urządził takie same ekspozycje, jak Zachęta i szeregi małych lub większych salonów, które nie zmuszają artysty do tworzenia rzeczy trwałych i takich, któreby w naszym życiu odgrywały jakąkolwiek rolę.

Działanie na kilka tysięcy, ciągle tych samych osób, które na salony i wystawy przychodzą, nie wskazuje jeszcze na to, że artysta jest społeczeństwu naprawdę potrzebny. A dawanie impulsu w tym kierunku, aby malarz podawał publiczności błyskotkę barwną, która zresztą za kilka lat przestanie mieć wartość, bo pewne kolory ciemnieją, jest popychaniem artysty w ciemną ulicę, gdzie nie ma żywych ludzi.

My chcielibyśmy mieć piękno nie tylko na obrazku, który albo będzie wisiał na wystawie, albo będzie kontrastował z całym brzydkim otoczeniem, ale pragniemy, żeby to całe otoczenie, nie wyłączając najdrobniejszych przypadków, jakimi się posługujemy, było barwne, lub kształtne piękne. I tu widzimy przede wszystkim rolę artystów.

Chcielibyśmy powrócić do czasów, kiedy były wspaniałe, kule, klamki, freski i kultura graficzna książki, którą miliony posługują się na co dzień.

Pragnęlibyśmy, aby zostało po nas coś, co będzie świadczyło, że nasze życie było na wysokim poziomie, a nie, że wystawy były dobre, a życie zupełnie pozbawione elementów sztuki.

Kwestia tylko skierowania artystów w tym właśnie kierunku. Salony w ogóle, a szczególnie Salony IPS-u, temu wyraźnie przeciwdziałają. I dlatego nie są wykładnikiem naszej kultury plastycznej.

I dlatego są zbyteczne.

Jerzy Stokowski

Przed lotem



Angielscy piloci, którzy wezmą udział w zbiorowym locie do Sidney z okazji 150-lecia tego miasta, szykują swój ekwipunek.

CHORA WĄTROBA

rujnuje organizm. Stosuje się w tych niedomaganiach SÓL MORSYŃSKA lub WODĘ GORZKĄ MORSYŃSKĄ. Znać w aptekach i składach aptecznych

JERZY MARIUSZ TAYLOR

27)

CZCICIELE
WOTANA

POWIEŚĆ

— Ależ proszę — zniecierpliwiał się.

— No, czy pan nie słyszał? Przecież Anka zakochała się po uszy w tym nowym księciu. Ona uratowała go od zamartwienia i on teraz u niej bywa, chociaż nie wiadomo, co tam z tego będzie.

Cios był celny. Wiadomość tę Hilda wyrzuciła jednym tchem i uciekła, trzasnąwszy drzwiami. Stał przez chwilę z przygryzionymi wargami. Jeżeli słowa Hildy były prawdziwe, to właściwie nie było po co rozpoczynać tej gry. Czyż mógł on — biedny nauczyciel wiejski — rywalizować z młodzieńcem, którego uznawała za syna księżną? Jeżeli rzeczy stały tak, jak mówiła Hilda, jeżeli Anka rzeczywiście zakochała się w tamtym, to nie trudno było przewidzieć, komu wyda swoją tajemnicę, o ile posiada ją naprawdę. Chyba że...

I, jak zwykle, wśród największych wątpliwości, zajaśniał mu nagle błysk nadziei. Całą noc przeleżał, nie znużywszy powiek, ale wczesnym rankiem, kiedy w zagrodzie sołtysa uderzył dzwon, dr Johnke zerwał się z łóżka tak rześki, jakby był zupełnie wypoczęty, i począł ubierać się pośpiesznie, ale nie bez pewnej staranności.

Tymczasem we wsi zaczął się ruch. Uderzenie dzwonu było dla całej kolonii sygnałem, że czas już dostarczyć do zagrody sołtysa mleko z wieczornego i rannego udoju. Wilhelm Ernin bowiem, w nieustannej trosce o pomnożenie swoich bogactw, założył ostatnio masłarnię parową, stwarzając tym dla siebie źródło nowych zarobków, a mieszkańcom wsi na Grobli udostępniając zbyt mleka. Wszyscy właściciele krów, a któż ich nie trzymał, dostarczali mu mleko, i to w ilości znacznie przekraczającej możliwości wytwórcze małego za-

kładu. Stary Młynarz jednak brał wszystko i wszystkim płacił za towar gotówką, bo właściciel piekarni w sąsiednim mieście, też z pochodzenia kolonista, ale już wynarodowiony, bo ożenił się z Polką i dzieci ich ani w ząb nie rozumiały po niemiecku — okazał się chętnym odbiorcą nadwyżki. Transport, choć to było daleko, nie kosztował nic, bo mleko zabierał ten sam wóz, który przywoził na Groblę pieczywo. Wszystko więc było w porządku, wszyscy zarabiali, wszyscy mieli wygodę i byli zadowoleni ze swego sołtysa.

Dr. Johnke podziwiając w duchu przedsiębiorczość i energię starego Ernina dawno już przyszedł do przekonania, że zgnębić go uda się tylko na drodze ekonomicznej. Planował też sobie, że w razie, gdyby powiodło mu się zdobyć skarb, o którym marzył, zorganizuje wielki zakład serowarski i, płacąc za surowiec wyższe stawki, podetnie egzystencję masłarni swojego antagonisty. Jak zwykle przy tym — i to trzeba znów zapisać na jego dobro — nie miał na widoku żadnych korzyści osobistych. Zakład serowarski, przy którym jednocześnie odbywałby się wyrób masła, jak i dostawy mleka do miasteczka, miał być wielką spółdzielnią, której udział posiadaliby wszyscy właściciele krów, odpowiednio do ilościowego stanu swoich obór. Miał już nawet opracowane szczegóły. Posiadanie trzech krów dawało prawo do jednego udziału, właściciel sześciorga bydła mógł reflektować na dwa i tak dalej.

W ogóle w planach dr Johnkego spółdzielczość grała dużą rolę. Całe życie gospodarze kolonii na Grobli miało zyskać formy spółdzielcze, a całością sieci wszystkich tych kooperatyw miała zawiadywać rada gminna, pod przewodnictwem jego dr. Johnkego, kiedy uszczęśliwieni koloniści okrzykną go nie tylko wodzem, ale i sołtysem.

Usłyszawszy daleki turkot wozu piekarskiego, wyszedł natychmiast. Gdyby go ktoś zapytał, czemu się tak spieszy nie umiałby na pewno dać wyraźnej odpowiedzi. Po prostu wydawało mu się, że Anka powinna przychodzić po pieczywo bardzo często.

Przecucie, któremu wierzył zawsze, nie zawiodło go i tym razem. Wdowa Klein, pomimo ciemności, poznała go od razu i zdziwiła się ogromnie.

— Co? Pan doktor też przyszedł po bułki i to tak skoro świt? Co się stało? A może pan dotkór wyjeżdża?

— Nic się nie stało i nawet nie wyjeżdżam — roześmiał się. — Wstałem trochę wcześniej niż zazwyczaj, bo mam robotę z poprawianiem wieszaków. Ale widzę, że naprawdę jestem dziś pani pierwszym klientem, kochana pani Klein.

Wdowa Klein zdejmowała w tej chwili cylinder z wiszącej na ścianie lampy naftowej i miała ją zapalić, ale, usłyszawszy ostatnie jego słowa, postawiła szkło na ladzie, protestując nie bez dumy:

— Aber nein, Herr Doktor. Fraulein Gollombek war die erste.

— Czy już poszła? — podchwycił zaniepokojony.

— Nie, skądże znowu, przecież pieczywo dopiero wiozą.

I znowu, jak wiele razy przedtem, dr. Johnke spostrzegł się poniewczasie, że pośpieszył się zanadto z ujawnieniem swoich wrażeń. Niejeden raz już myślał sobie, że ta szczerość nie jest właściwie cechą czysto germańską. Zapomniał jednak o wszystkim, kiedy wdowa Klein zapaliła wreszcie lampę i, kiedy jasny płomień poprzez szkło pedantycznie wyczyszczonego cylindra oświetlił twarz stojącej przy ladzie dziewczyny.

Miała na sobie prawie taki sam kubrak barani, jaki nosiła Hilda. U tamtej tego kubraka nie znosiła. Ta go oślnęła.

— Ach, jaka śliczna — pomyślał przytykając oczy i przypominając sobie słowa pastora.

Tu autor jest zmuszony uczynić małe zastrzeżenie. Anka może nie była taką znów wyróżniającą się pięknosną. Na konkursie twarzyczka jej nie zyskała na pewno palmy pierwszeństwa. Zdobiła ją młodość i inteligencja. Pamiętamy jednak, że dr. Johnke skazany był wyłącznie na widok puciołatałych i wręcz ordynarnych kolonistów i w tych warunkach musiał ją uznać za piękność skończoną i to w najlepszym tego słowa znaczeniu, bo odpowiadającą w zupełności wymaganiom teorii nordyckości.

(D. e. a.).